

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 37 Marek, Półrocznie 74 Marek. Rocznie 148 Marek.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 672.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Numer pojedynczy 3 Marki = K 4·30.

Rok XVII. Kraków, 20. marca 1920. Nr. 12.

Pod czeskim terrorem.

Bandy czeskiej bojówki demolują gimnazyum polskie w Orłowej; u góry: legionarz czeski strzela do księdza w Orłowej, który oświadczył, że będzie głosował za Polską.

Pod czeskim terrorem.

Zaledwie przebrzmiały echa barbarzyństwa Ukraińców w Galicyi wschodniej, gdy rozpoczęły się dnie nowego męczeństwa ludu polskiego, katowanego i terroryzowanego przez Czechów. Zdawało się, że kulturalna walka o ziemię w ramach plebiscytu będzie świadectwem „europejskości" Czechów. Przekonaliśmy się szybko, że z bandami Hunnów niema walki kulturalnej. Straszne gwałty, dokonywane na Śląsku Cieszyńskim przekreślają wszelką ugodową politykę: z bandytami pertraktować nie wolno, pamiętajmy, że nie wolno.

A jednak gwałty czeskie znajdują usprawiedliwienie i sankcyę państw koalicyjnych, które patrzą na to wszystko z uśmiechem w kątach ust i z założonemi rękami wypełniając swoje przyrzeczenie, że Śląsk Cieszyński dostanie się Czechom.

I co my na to? Jak zwykle — nic, ale to zupełnie nic nie robimy i tylko czekamy zmiłowania Bożego. W Warszawie patrzą z błogim optymizmem na sprawę Śląska i z tą ustawiczną wymówką, że nie możemy zajmować terenów plebiscytowych. I teraz zbieramy hojne owoce naszego optymizmu, owoce, ociekające krwią robotnika polskiego; zbiera się owoce w ruinach naszej pracy kulturalnej — i na wszystko patrzy się, choć wiemy z góry do czego Czesi dążą. Rozpacz może stworzyć fakty dokonane. Wiemy, że o to im idzie, a dowodem dotychczasowe ich stanowisko, ich ofenzywa styczniowa z roku 1919, złamanie ugody paryskiej z 3. lutego, gwałty codzienne pod hasłem patryotyzmu, sztukowanego obficie pieniądzmi i chęcią łatwego rabunku. Jest to jaskrawa walka o wywołanie faktów dokonanych, zniszczenie całego dorobku kulturalnego, zdeprymowanie ludności, która widząc, że Polska na zurodnie nie umie, nie ma siły, czy nawet nie chce reagować, będzie głosować za jarzmem czeskim. O tem musimy na Boga przecie myśleć, zdać sobie wreszcie sprawę, że choćby Śląsk Cieszyński stał się Serbią walczyć musimy, bo to jest naszym świętym obowiązkiem. Dość już ugody, dość pertraktacyi, dość wychylania się za parkanik koalicyjny. My nie chcemy cudzych krzywd, ale żądamy sprawiedliwości i tę musimy otrzymać i to musimy przysiądz sobie.



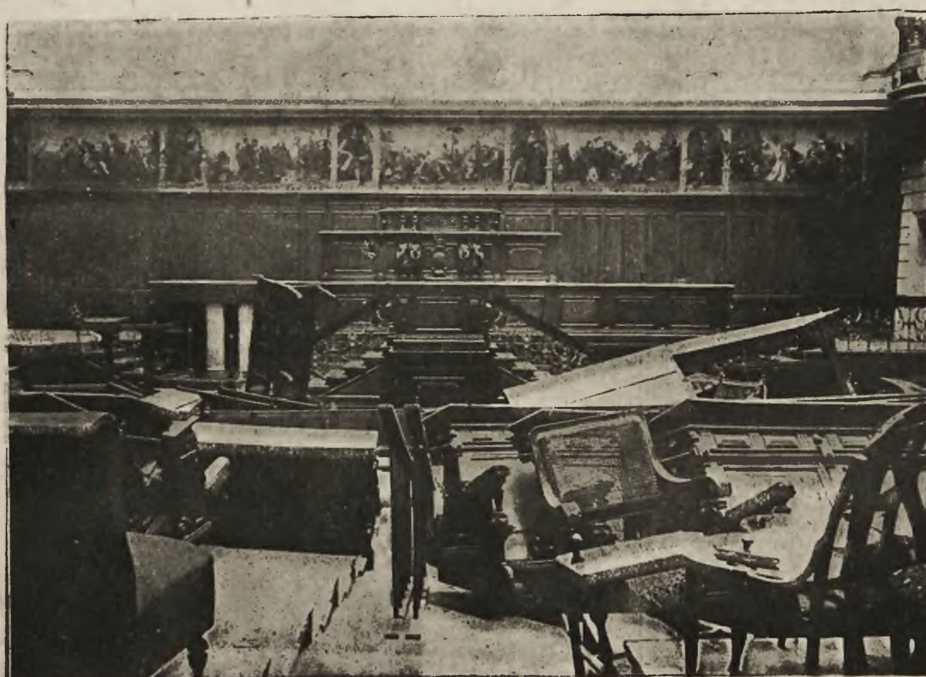
Nowa siedziba Uniwersytetu lwowskiego: Stary Gmach Uniwersytetu lwowskiego.

Rząd czeski zrzuca z siebie odpowiedzialność za wypadki śląskie, oświadczając, że są one odruchem mas. Naprawdę?!

Do gwałtów śląskich Czesi przygotowywali się już dawno. Początkowo próbowano siły komisyi koalicyjnej pojedyńczymi ekscesami, a widząc ich lojalność, nawet wobec zbrodni przystąpiono do zdecydowanych czynów, nie liczących się już z żadnemi przeszkodami. Rozpoczęto wreszcie rugami robotników polskich z przedsiębiorstw górniczych, których zastąpiono Czechami, usiłując w ten sposób opanować szyby. Pertraktacye z ö. b. m. były tylko maską ugodowego załatwienia sprawy. Powstały bojówki z przebranych legionarzy, na co komisya koalicyjna zgodziła się. Wszystko prowadzono wedle obmyślanego planu, którego efektem końcowym miało być zbrojne opanowanie Śląska przy pomocy żandarmeryi i wojsk regularnych, stojących za Ostrawicą w pogotowiu. Szybko organizacya objęła całe Zagłębie. W poniedziałek rozdano karabiny, browningi i granaty. Bezpośrednim powodem zajść poniedziałkowych było rozporządzanie komisyi z dnia 6 go b. m., które w gminach: Dobrowej, Orłowej, Porębie, Rychwałdzie, Zabłoczni i Wierzbicy ustanawiało w miejsce czeskich Rad gminnych komisye mieszane, nawet krzywdzące Polaków, bo w gminach o przewadze polskiej dano Czechom równą ilość mandatów. Na to Czesi zaprotestowali wiecami poza linią demarkacyjną. Na wiecu niedzielnym na rynku orłowskim pulk. Sznejderek wyznaczył jako dzień walki środę; rozagitowane bandy nie dały się jednak powstrzymać. Wkrótce agitacya objęła wszystkie szyby Zagłębia, gdy równocześnie górnicy w Karwinie rozpoczęli strejk generalny przeciwko gwałtom czeskim. Czesi po południu rozdali resztę broni i rzucili się na polskich górników. Rozpoczęła się krwawa walka; niema szybu, na którymby nie padło kilku naszych trupem. Nienawiść legionarzy zwróciła się przedewszystkiem przeciw uczestnikom wiecu karwińskiego. Żandarmerya czeska na prośbę interwencyi odpowiedziała, że jest ona bezcelową, bo wszędzie panuje spokój. We wtorek rozagitowane bandy rzuciły się na polskie gimnazyum i bursę w Orłowej, które zupełnie zdemolowano. Następnie rzucono się na polskie domy częstokroć wśród okrzyków: „niech żyje bolszewizm". Wobec tych gwałtów, które pociągnęły za sobą około 180 ofiar w zabitych, komisya koalicyjna zachowała się stronniczo, utrudniając przedostanie się z pod gwałtów czeskich naszym rodakom poza linię demarkacyjną, otaczając kordonem przedewszystkiem Karwinę. Oto garść wiadomości, stanowiących zaledwie drobną cząstkę rzeczywistości. I my na to patrzymy tylko.



Nowa siedziba Uniwersytetu lwowskiego: Gmach Sejmu zamieniony na Uniwersytet.



Nowa siedziba Uniwersytetu lwowskiego: Zniszczona przez Ukraińców sala posiedzeń sejmowych zamieniona na aulę uniwersytecką.

Nowa siedziba Uniwersytetu lwowskiego.

Po długich pertraktacyach zapadła uchwała przeniesienia uniwersytetu lwowskiego z dotychczasowej siedziby do dawnego gmachu sejmowego. Prace energiczne w tym kierunku rozpoczął rektor dr. Alfred Halban. Wydział krajowy ulokowany będzie w kamienicy przy ulicy Mickiewicza, którą już wojsko opuściło. Na razie będzie przeniesiony rektorat, dekanaty, kwestura, oraz wydział prawniczy i teologiczny gdy medycyna i filozofia pozostaną w dawnym budynku uniwersyteckim. Przy ulicy Długosza zostaje także biblioteka uniwersytecka. Wkrótce rozpocznie się restauracya starego gmachu uniwersyteckiego. Wielka sala sejmowa zamienioną będzie na aulę, dla większych uroczystości. Mniejsze zebrania odbywać się będą w małych salach sejmowych.

Czeska firma w Krakowie magazynuje buty dla spekulacyi.

Równolegle ze spekulacyą i szalbierstwem czeskiej polityki, kierującej się wszelkiego rodzaju środkami, aby opinię o nas poniżyć, czescy obywatele wewnątrz naszego kraju prowadzą doskonały pasek.

Przy ul. Szewskiej l. 22 w Krakowie, istnieje firma, zajmująca się sprzedażą obuwia na wielką skalę, która dotąd nosiła czysto czeskie miano

„Bata“ obecnie zaś przybrała sobie drugie nazwisko, bardziej modne, brzmiące z amerykańska „Shoe And Leathn & Comp. Lynn Mass U. S. A.“

Wojskowo policyjna komisya rekwizycyjna wykryła w ostatnich dniach w składzie tej firmy w słodowni Goetza przy ulicy Lubicz 17 około 36 tysięcy par bucików męskich i damskich, skór na podeszwy 1900 kg; w składzie przy ulicy Szewskiej około 5 tysięcy par boksowych bucików męskich, sto kilkadziesiąt par szewrowych bucików damskich, około 900 par półbucików płóciennych i aksamitnych, około 4000 par masywnych trzewików robotniczych, 1600 par drewniaków, 14000 par sandałów drewnianych.

Ta spekulacya u firmy czeskiej obliczona jest albo na pasek albo na wywóz. Takie panoszenie się Czechów w Polsce musi być stanowczo napiętnowane. Jest to tem znamienniejsze, że kierownik tej firmy otrzymuje tygodniowo 2—3 tysięcy koron i ma 10 procent dochodu, który to procent wynosi 60—70 tysięcy koron rocznie.

Małopolski Wydział aprowizacyjny opieczętował składy „Bata“. Skonfiskowane w tej firmie obuwie rozdzielone będzie przedewszystkiem między konsumy, a następnie będzie je mogła nabyć publiczność.

Illustracye nasze przedstawiają publiczność gromadzącą się przed „Batem“ chciwą wiadomości, kiedy nastąpi sprzedaż bucików.



Generalny strajk w Krakowie: Tłumy zalewające Rynek.

Generalny strajk w Krakowie.

Po trzydniowym strajku kolejarzy krakowskiego okręgu, w sobotę dnia 13 bm. zakończono go generalnym strajkiem. Generalny strajk był zaznaczeniem solidarności robotników krakowskich z kolejarzami. Generalny strajk rozpoczął się w sobotę dnia 13 bm. o godz. 9 rano. W całym Krakowie wstrzymana została praca w warsztatach, fabrykach, w zakładach miejskich, a nawet restauracye i kawiarnie zamknięto na trzy godziny. O godz. 10-ej rano połać Rynku od strony pomnika Mickiewicza była zalana przez demonstrującą masę proletaryatu. Przemawiali: w imieniu kolejarzy dr. Wodecki, poseł Żuławski, poczem po krótkim przemówieniu posła dra Bobrowskiego, uchwalono szereg rezolucyi na podstawie których ze względu na interes i dobro narodu i państwa, oraz polegając na oświadczeniu rządu, postanawiają wszyscy powrócić do pracy.





Generalny strajk w Krakowie: Tłumy pod pomnikiem Jagiełły słuchające przemówień swoich delegatów. Przemówienie posła Bobrowskiego pod pomnikiem Jagiełły.



Generalny strajk w Krakowie: Tłumy demonstrujące pod Magistratem.

Następnie zgromadzeni ruszyli pochodem na plac Matejki, przed gmach dyrekcyi kolei. Tam z pod pomnika Jagiełły przemówili poseł dr. Bobrowski, poseł Żuławski, dr. Wodecki i Paskan. Zbita masa demonstrantów wypełniła plac Matejki aż po Rondel. Na tem zakończyła się manifestacya. Praca została podjęta punktualnie o godzinie drugiej. Z uderzeniem godziny 2, ukazały się pierwsze tramwaje. Kolejarze podjęli pracę już o godz. 12, zaczynając palić pod kotłami. O godz. 2, wyszły pierwsze pociągi.

Przez cały czas strajku kolejowego, dworzec krakowski przedstawiał obraz przygnębiający. Gmach dworca i peron zamknięty był silnemi patrolami żandarmeryi. W poczekalniach obozowały setki bezdomnych, którzy zaskoczeni strajkiem, zmuszeni byli czekać na zakończenie bezrobocia. Dzień przed zakończeniem strajku, kolejarze postanowili ulżyć cierpieniom podróżnych i wypuścili trzy pociągi z dworca krakowskiego w stronę Lwowa, Warszawy i Nowego Sącza, któremi odjechali obozujący na dworcu podróżni. Po demonstracyjnym wiecu w ostatnim dniu strajku, przybyli do prezydyum miasta delegaci robotników gazowni i elektrowni, wodociągu i tramwaju, oraz robotnicy budownictwa miejskiego. Delegacyę prowadził poseł dr. Bobrowski, który przedstawił dezyderaty robotników miejskich. Stan aprowizacyi — mówił pos. Bobrowski — jest w Krakowie fatalny i dotyka wszystkich miesz-

kańców. Prezydent Federowicz w odpowiedzi zaznaczył, że obowiązkiem jego starać się o możność egzystencyi aprowizacyjnej ludności Krakowa. Co do robotników miejskich, w zasadzie żądania ich o przydział deputatów żywnościowych u rządu warszawskiego przeprowadził i czyni dalsze starania celem realizacyi zobowiązań rządu. Deputacya opuściła prezydyum zeszła na dół i powtórzyła zebranym tłumnie przed magistratem robotnikom odpowiedź prezydenta, poczem robotnicy rozeszli się w spokoju.

Natychmiast po odejściu deputacyi połączył się telefonicznie prezydent miasta z min. aprowizacyi i zakomunikował, że zakończył się demonstracyjny, kilkugodzinny strajk generalny robotników krakowskich, zakończył się również strajk kolejowy i robotnicy wszelkiej kategoryi podjęli pracę. Następnie przedstawił żądania przyjętej przed chwilą deputacyi robotniczej i otrzymał zapewnienie natychmiastowej doraźnej pomocy dla Krakowa w postaci transportów mąki i ziemniaków, oraz przyrzeczenie załatwienia sprawy deputatów, podwyższonych racyi żywności dla ciężko pracujących i zaopatrzenia ich w artykuły pierwszej potrzeby.



Czeska firma: Tłumy oczekujące pod „Batem“ sprzedaży bucików.



Czeska firma: Policya ustawiona przed „Batem“.

Pierwszy kurs wojskowych kierowników oświatowych w Warszawie.

Celem wyrównania braków na polu kulturalno-oświatowem, jakie nam zabory pozostawiły w spuściźnie i zorganizowania planowego prowadzenia akcyi tej w Wojsku Polskiem, powołały Władze Naczelne do życia Uniwersytet Żołnierski.

W ciągu jednego roku (1919) zorganizowano cały szereg placówek oświatowych we wszystkich prawie oddziałach naszej armii, a praca oparta o fundamentalną ustawę suwerennego Sejmu „O nauczaniu przymusowem w wojsku“ rozwija się w żywem tempie, mimo trudności, na jakie jednak często napotyka. Jedną z najważniejszych to brak ukwalifikowanych pracowników oświatowych.



Generalny strajk w Krakowie: Publiczność zatrzymana w Krakowie przez strajk, wyczekuje przed dworcem kolej. wiadomości o rozpoczęciu ruchu pociągów.

Pragnąc temu zaradzić, departament Naukowy Ministerstwa Spraw Wojskowych organizuje osobne kursa w celu teoretycznego przygotowania wojskowych kierowników oświatowych i nauczycieli, oraz pogłębienia ich zawodowego uzdolnienia. Na pierwszy kurs kierowników oświatowych, który się odbył w Warszawie w czasie od 15. stycznia do 15 lutego 1920, powołano 46 kierowników oświatowych oficerów z całej Polski. Organizatorami kursu byli referenci Sekcyi Kulturalno-Oświatowej, z szefem departamentu Naukowo Szkolnego, generałem Jacyną na czele, a obowiązki wykładowców przyjęli najwybitniejsi działacze społeczni, jak wiceminister p. Bek, prof. dr. Ziembiński, prof. Heilpern. prof. Jezierski, prof. dr. Kupczyński, kapitan dr. Osmolski, p. Godecki, p. H. Radlińska, p. G. Brzezińska i inni.

Szef. departamentu Naukowo-Szkolnego, generał Jacyna, szef. Sekcyi Kulturalno Oświatowej, por. Jędrzejewicz, Inspektor Oświaty w Wojsku polskiem, p. Korniłowicz i naczelnik Wydziału I. p. dr. Krawczyk bardzo żywo zajmowali się sprawami kursu, często byli obecni na wykładach i dzięki właśnie ich staraniom kurs ten odpowiedział w zupełności zadaniu, przygotowując do systematycznej pracy pierwszy zastęp wojskowych kierowników oświatowych.





Pierwszy wojskowy kurs kierowników oświatowych w Warszawie: Uczestnicy kursu.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

22

Żółte akta.

Nazajutrz po ucieczce z hotelu „Książąt Portugalskich“ i pewny będąc, że już na zawsze zatarł wszelki ślad za sobą, Paweł de Vareilles obudził się zupełnie zadowolony ze siebie w wygodnem łóżku w Grand-Hotelu.

Kiedy po rannem śniadaniu przebiegał dzienniki, artykuł jeden zwrócił jego szczególniejszą uwagę, wywołując niemałe zdumienie.

Miał bowiem przed oczami opis swego zdarzenia na bulwarach, w którem wymienione było kilkakrotnie imię Zanetty Levasseur.

A więc nieprzewidziany przypadek już w pierwszych dniach jego pobytu w Paryżu połączył go z córką dzielnego człowieka, który pierwszy w jego niewinność uwierzył i otworzył mu dobrowolnie drzwi więzienia. Widocznie Opatrzność sama chciała wzbudzić w nim wiarę w jej opiekę i utwierdzić, że cel jego przybycia do kraju uwieńczony zostanie pod każdym względem jak najlepszym skutkiem.

Paweł uczuł się teraz jeszcze pewniejszym siebie i silniejszym do przedsięwzięcia ciężkiego zadania, jakie na niego czekało.

Ale poprzysiągł sobie, że nic nie zatrzyma go w drodze, zanim otrzyma zadośćuczynienie za okropną krzywdę i pomyłkę sprawiedliwości, za którą cierpiał dotąd.

Wobec tego więc postanowił odłożyć na później spłacenie długu zaciągniętego u starego Levasseur'a. Zresztą na prędce wykonane śledztwo wykazało, że Zanetta żyła uczciwie z pracy swojej w maleńkim pokoiku w dzielnicy Belleville. Czuła się szczęśliwa ze swojego losu, nie narzekając nigdy, bo będąc bardzo zręczną hafciarką, zarabiała dostatecznie na opłacenie skromnego, lecz spokojnego bez troski życia.

W kilka dni później pojawiła się również w dziennikach notatka o wydarzeniu, jakie miało miejsce na ulicy Briot. Notatka była krótka, urzędowa, wzmiankująca tylko, że pewien podróżny został zamordowany i obrabowany w hotelu przez jakieś indywidyum, które ulotniło się po dokonaniu zbrodniczego czynu.

Lecz jeden z dzienników porannych goniący zawsze za sensacyą, treść owej notatki podał czytelnikom swoim w następujący humorystyczny sposób:

— W jakim celu udawał się do hotelu w dzielnicy Batignolles szlachetny cudzoziemiec? Nadszedł szczur szukający żeru: Morderstwo, kradzież... Szczur biega dalej...

Te parę wierszy wprowadziły w doskonały humor Newtona, Pawła de Vareilles, uspokoiły ostatecznie. Przewidywania jego spełniały się zupełnie. Należało teraz iść odważnie naprzód, nie oglądając się poza siebie.

Pomimo to jednak nie pozbył się dawnej ostrożności. J. W. Forster, tajemniczy pasażer z Black Old Dog'u znikł, a na jego miejsce wypłynął inny Amerykanin, noszący nazwisko Reginalda Farweth'a, przybywający z bardzo poważnemi rekomendacyami, które utorowały mu drogę do ambasady i którego wielki majątek zjednał mu uznanie wszystkich. Wówczas były oficer marynarki zabrał się energicznie do dzieła. Zadanie jego przedstawiało poważne trudności.

Musiał on liczyć wiele na przypadek i na łaskawy uśmiech szczęścia.

Zaczął od informowania się, co stało się z byłymi członkami sądu wojennego, przez których niegdyś skazany został na śmierć hańbiącą. Żył tylko jeden z nich, kapitan okrętu, który powrócił do Chelbourg, do swojego rodzinnego kraju, po przejściu w stan spoczynku.

Paweł udał się tam natychmiast.

W małej kawiarence mieszczącej się przy porcie, dawny wilk morski przepędzał codziennie parę godzin, grając ze znajomymi w domino.

Po upływie kilku dni Paweł de Vareilles stał się jego partnerem, ale wywołać zwierzenia starego kapitana nie było znowu rzeczą tak łatwą... Były marynarz nie był bardzo rozmowny. Kiedy otwierał usta to po to jedynie, aby palić nierozłączną z nim nigdy fajkę.

Paweł cierpliwością jednak osiągnął cel upragniony i to w tak zręczny sposób, że tamten nie mógł się domyśleć, co było prawdziwym powodem jego ciekawości, odnoszącej się do sprawy prawie już zapomnianej, a która interesowała go tak żywo. Lecz stary kapitan, wierny swoim dawnym obowiązkom milczał uparcie, zapytany o treść owych sławnych aktów. Paweł zaledwie mógł wyciągnąć z niego kilka z objaśnień danych członkom sądu wojennego podczas sekretnej rozprawy, tyczących się organizacyi szpiegowskiej, a które spowodowały zaaresztowanie jego.



Kim był stary gałganiarz...

Odnaleść po latach dwudziestu ślad całej tej bandy, było niepodobieństwem.

Jedno nazwisko jednakże uderzyło Pawła. Nazwisko barona Koopfstraussa. Przypomniał sobie, że słyszał je już wymienione w kolonii cudzoziemskiej, do której teraz uczęszczał.

Po powrocie do Paryża zasięgnął w tym kierunku potrzebnych informacyi. Baron Koopstrauss żył jeszcze. Mieszkał oddawna w Paryżu zajmując czwarte piętro w wytwornym domu na placu Ma'theobes. Żył odosobniony zupełnie od świata, nie zajmując się już interesami, udzielając się mało. Wszystkie zebrane o nim informacye okazały się jak najlepsze i dla niego.

Ponieważ jednak był to jedyny na razie ślad dawnych czasów, Paweł w braku innego postanowił iść za nim.

Pierwszem jego staraniem było zbliżyć się do miejsca, w którem zamieszkiwał baron.

On to więc podał się za buchaltera firmy Wolff i wynajął mały pokoik ponad mieszkaniem Koopfstraussa, a następnie w przebraniu robotnika-mechanika, przedłużył druty telefoniczne aż do swojej mansardy, aby nie stracić jednego słowa z rozmów prowadzonych u bankiera.

W krótkim czasie wiedział już wszystko co mu było potrzebnem.

Bankier w dalszym ciągu oddawał się sprawie szpiegowskiej. Od czasu do czasu przyjmował u siebie kobietę, która była główną kierowniczką tajemniczych intryg. Była nią baronowa Braüersweski. Pomału dowiedział się o planach wojskowych złożonych w kasie ogniotrwałej, gotowych już do przejścia w inne ręce i o cyfrze kombinacyjnej otwierającej kasę 24785, znanej dotąd, tylko bankierowi i jego wspólniczce.

Cyfrę tę zanotował sobie na skrawku papieru, który Lapipé następnie odnalazł w wiadomych okolicznościach.

I tu wpatrując się w tę cyfrę, aby ją dobrze w pamięci utrwalić, Paweł de Vareilles doznał silnego wstrząsu.

Czytając tę cyfrę w sposób rozdzieloną 24. 7. 85., zauważył, że zgadzała się doskonale z datą jego aresztowania, które nastąpiło 24 lipca 1885 roku.

Podobną analogię nie można było przypisać zwykłemu przypadkowi. Musiał tu istnieć powód, który spowodował wybór tych cyfr. Aby nie zapomnieć cyfry otwierającej jego kasę, bankier wybrał datę dobrze zaznaczoną w jego pamięci, odtąd Paweł niemiał już żadnych wątpliwości. Koopfstrauss wmieszany był w dramat odegrany w Tulonie i tu należało szukać całej tej zagadki.

Ale jak zmusić go do rozprawy w cztery oczy? i wyjaśnienia tajemnicy?

Rzecz ta łatwa pozornie, była ciężka do wykonania.

Wcisnąć się do jego mieszkania, skorzystać z wyjścia rodziny, groźbą nakłonić do mówienia, było sprawą zanadto ryzykowną.

Bankier będzie się opierał... wołał o pomoc, ludzie nadbiegną i skandal gotowy a sprawa na zawsze stracona. Trzeba było zwyciężyć od pierwszej chwili, albo też nie kusić się o zwycięstwo.

Paweł de Vareilles zastanawiał się długo.

Wyjazd lokatorów z trzeciego piętra w czasie świąt Bożego Narodzenia, dopomógł mu niespodziewanie do wykonania bardzo śmiałego planu.

Dzięki mikrofonowi umieszczonemu na biurku bankiera, wiedział że pani Koopfstrauss i jej córka pragnęły oddawna być na „Romeo i Julii“ i że korzystały niejednokrotnie z grzeczności jednego z ich znajomych, który im przysyłał od czasu do czasu bilety na różne przedstawienia teatralne.

W kilka dni później i to w późnej bardzo godzinie, tak, że te prawie nie mogły już nawet odpowiedzieć bilecikiem na uprzejmość pana Seversheima, do mieszkania Koopfstraussów nadeszły dwa bilety operowe, ważne na ten sam wieczór jeszcze. Dołączony był do nich bilet wizytowy pana Seversheima, a pismo jego na kopercie było tak doskonale naśladowane, że on sam, jak później wyraził się wobec ajenta Lapipé byłby przysiągł, że wyszło z pod jego pióra.

Postarać się o jedno i drugie było dla Pawła de Vareilles rzeczą bardzo łatwą.

Pan Seversheim kilka dni przedtem wysłał do jakiegoś nieznajomego człowieka komplementującego go za artykuł przez niego napisany w dziennikach kilka słów zdawkowego podziękowania na bilecie swoim wizytowym, którego odbitki porobił potem drukarz, niedomyślający się wcale, w jakim celu się o to do niego zwrócono, a dziennikarz, pan Seversheim nie domyślił się nigdy, kim był stary gałganiarz, który tak troskliwie przeszukiwał papiery z jego pismem w pace na śmieci znajdującej się w dziedzińcu jego domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na Pomorzu.

Zamki pomorskie.

Pomorze polskie należy do najpiękniejszych ziem polskich. W okresie lodowym Europy, lodowce ze Skandynawii, które staczały się ku południowi, a zatrzymywały się najczęściej tu, gdzie dziś są wybrzeża południowe i południowo-wschodnie Bałtyku i przyległe do nich kraje i usypały tu liczne pagórki. W zagłębieniach pomiędzy tymi



Na Pomorzu: Katedra w Pelpli ie.

pagórkami potworzyły się l'czne jeziora. Tam gdzie morena pozostawiła znaczne warstwy piasku, człowiek z konieczności musiał pozostawić lasy, które z tej przyczyny są liczne jeszcze na Pomorzu. Pagórki otoczone jeziorami i rzekami były doskonałemi miejscami dla zakładania obronnych zamków, a kamienie granitowe przyniesione przez lodowce, stanowiły świetny materyał na posady zamków i kościołów, rzadziej dla całych budowli. Brak odpowiedniego do obrabiania kamienia sprawił, że jak ogólnie w Polsce tak i tu, budowano z czerwonej cegły.

Krzyżacy wdarłszy się na Pomorze umocnili kraj licznymi zamkami. Zamki te miały wielkie znaczenie w czasie walk Władysława Łokietka z Zakonem, gdy przechodziły nieraz z rąk do rąk, podobnie za czasów Wielkiej Wojny za Jagiełły, wojny 13 to letniej za Kazimierza Jagiellończyka, w czasie wojny za Zygmunta Starego z Wielkim mistrzem Albrechtem, dalej za wojny z Gustawem Adolfem od roku 1626 — 1629 i w okresie wojen szwedzkich za Jana Kazimierza.

Do najciekawszych, dotąd zachowanych, należą zamki w Malborgu, Kwidzyniu i Olsztynie i zwaliska zamków w Radzyniu i Gołubiu. O zamku w Malborgu mówić będziemy osobno.

Kwidzyń (Marienwerder) leżący w niewielkiej odległości od Wisły, stał się od roku 1254 siedzibą biskupstwa poniezańskiego, założonego przez krzyżaków na ziemi przedtem polskiej, gdyż pomorzanie zajmowali przed ich najściem prawy brzeg Wisły na przestrzeni około pięciu mil ku wschodowi. Kościół i zamek, zbudowane na wzgórzu, tworzą malowniczą całość. Budowę zaczęto między rokiem 1310 a 1330. Prezbyteryum powstało już przed rokiem 1343, a nawa około roku 1360. W XVIII wieku budowla znacznie zniszczała, od nowienia dokonano w latach 1860—64. Kościół o trzech jednako wysokich nawach, o pięciu przęsłach z prezbyteryum jednonawowem zamkniętem trzema ścianami. Sklepienia są tu gwiazdkowe. Łuki międzynawowe są tej długości co szerokość nawy głównej, a więc przęsła tworzą tu kwadraty. Każdemu łukowi odpowiadają dwa okna w ścianach naw bocznych. Słupy są ośmioboczne z dosyć wybitą listwą górną, zastępującą głowicę. Słupy międzynawowe są dosyć niskie, w porównaniu do innych budowli na Pomorzu, bo wynoszą tylko siedm metrów, to jest tyle co wysokość łuków, a są zato bardzo grube. W ścianie nad łukami wnęki o głębokiej, rozczłonkowanej profilacyi. Nawy liczne są bardzo wąskie i dlatego sklepienie gwiazdkowe jest tu tylko połowiczne. W roku 1343 zbudowano w prezbyteryum kaplicę grobową dla biskupów, która pozostała na poziomie kościoła, a prezbyteryum znalazło się dopiero nad nią, na wysokości przeszło pięciu metrów. Krypta jest dwunawowa, ze sklepieniem krzyżowem, opartem na granitowych słupkach. W nawach bocznych pod oknami pozostały dawne malowidła, silnie odnowione. Stolica biskupia wspaniale rzeźbiona, pochodzi z początku XVI wieku. Nagrobki biskupów rzeźbione sposobem rytowania, są z lat 1376, 1427 i 1463. Naczynia kościelne bogate, późno gotyckie i renesansowe. Kościół niema szczytnicy, ale przylega od strony zachodniej do zamku biskupiego.

Zamek biskupi tworzył czworobok, z którego pozostało tylko skrzydło zachodnie i północne. Podwórze otoczone jest piętrowem podcieniem, z którego prowadziły wejścia do izb. Na rogach zamku czworoboczne wieże; jedna z nich, mianowicie przylegająca do kościoła, została podwyższona i służy za dzwonnicę. Najważniejsze pomieszczenia znajdowały się w zburzonem południowem skrzydle, które było szersze od innych. Pod krawędzią dachu zewnątrz i wewnątrz ciągnie się chodnik z otworami służącymi do obrony. Na zewnątrz w stronę doliny wznosi się Gdańszczanin t. zn. pomost mający 55 metrów długości, stojący na ogromnych słupach, zakończony wieżą czworoboczną i podobne budowle zachowały się w Toruniu i Malborgu. Po stronie północnej wznosi się wysunięta nieco wieża, w której znajdowała się studnia.

Obok zamku biskupiego istniał tu jeszcze zamek krzyżacki, którego szczątki rozebrano w XIX wieku.

Zamek w **Radzyniu** (Reden) założyli krzyżacy w latach 1290—1300. Budowla przyszła do upadku od roku 1772 ale zwaliska pozostały jeszcze w znacznej części, tak, że łatwo rozeznać rozkład dawnej budowli. Zamek tworzył dokładnie wymierzony kwadrat o bokach, mających 52 5 m. długości, z czworobocznym dziedzińcem w środku i wieżą na każdym z czterech rogów. Mury w dolnej części mają grubości 3 m. Piwnice są piętrowe, sklepione, wsparte na granitowych słupach. Najlepiej zachowana jest strona południowa, której rozkład jest takisam jak w zamkach w Gołubiu, Gniewie i Malborgu, to jest na prawo jest wielka kaplica, na lewo jadalnia, znacznie niższa od poprzedniej, jak to widać na załączonej rycinie, ukazującej niższe okna. Pomiędzy temi izbami wązka izba, nie mająca z niemi połączenia, w której zachowały się ślady sklepienia gwiazdkowego, jednego



Na Pomorzu: Zamek w Olsztynie na Warmii.

z najdawniejszych, jakie powstały w budowlach ceglanych. Dalej za kaplicą była izba posiedzeń, a za jadalnią mieszkania komtura. W górnej części murów znać jeszcze ślady strzelniczych okienek. Wieże narożne czworoboczne zachowały się jeszcze dobrze, z wielkimi blankami u góry i stożkowymi ceglanymi dachami. W stronie północno-zachodniej wznosił się t. zw. Bergfrid z francuskiego beffroi albo donjon, t. j. główna wieża zamkowa, będąca zarazem ostatniem miejscem schronienia w razie zdobycia zamku. Ozdobę murów stanowią tu prawie jedynie krzyżujące się wskośnie wstęgi cegły czarno polewanej, biegnące przez całą wysokość wież, na ścianach zaś wewnętrznych zamku jedynie w górnej części. Podobną ozdobę murów spotykamy na dworcu Dożów w Wenecyi. Sposób ten ozdobny przyszedł ze wschodu, w czem nic dziwnego, bo przecie krzyżacy ze wschodu do nas przybyli. Przy dokładniejszem badaniu budownictwa krzyżackiego zapewne ukaże się jeszcze niejeden przykład wschodnich wpływów.

Kościół parafialny w Radzyniu, zaczęty razem z zamkiem, przebudowano w końcu XVI. wieku, a niezmienione pozostało jedynie prezbyteryum.

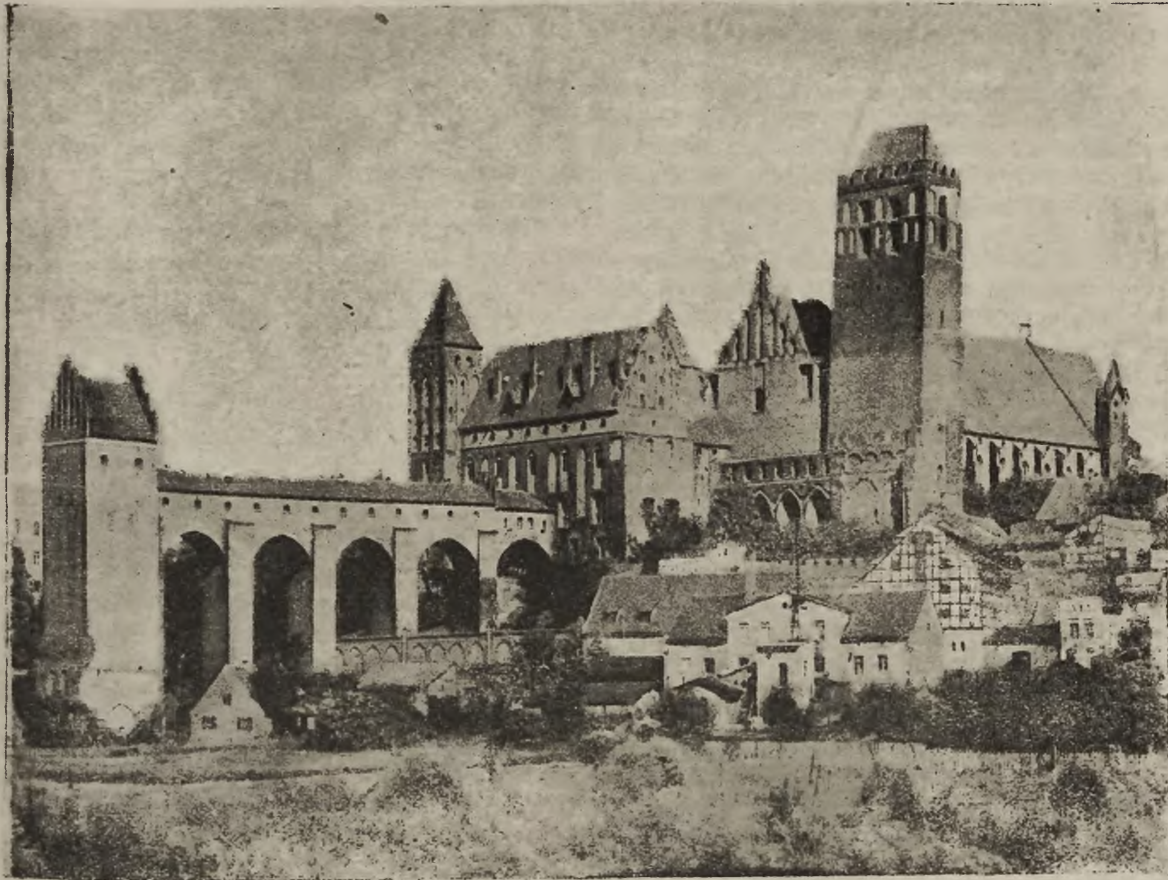


Na Pomorzu: Zamek w G łubiu nad Drwęcą



Na Pomorzu: Zamek w Radzyniu w Prusach Królewskich

Dosyć dobrze zachowały się zwaliska zamku w Golubiu nad Drwęcą, wzniesionego około roku 1300. Długość czworoboku wynosi 42 m., szerokość 39·4 m. Wewnątrz nad krużgankiem wznosiły się podcienia, z których wchodziło się do kaplicy



Na Pomorzu: Zamek i katedra w Kwidzyniu.

i izby obrad, położonych w skrzydle południowem i do innych izb. W kaplicy i izbie obrad są sklepienia gwiaździkowe. W kaplicy okna mają żebrowania i przeźrocza gipsowe. W izbie zebrań zaprowadzone było ogrzewanie ciepłem powietrzem. Na rogach budowli niema tu wież, ale tylko wieżyczki na górnych rogach ścian, a po stronie południowo-zachodniej odsunięta nieco okrągła wieża, która niegdyś była połączona pomostem z górną galeryą strzelniczą zamku. Nad tą galeryą za czasów polskich dodano renesansową polską attykę.

Kościół parafialny w Golubiu zbudowano w XIV. wieku, odnawiano zaś i przerabiano w XV i XVII. Prezbyteryum o dwóch przęsłach sklepione, zakończone trzema ścianami. Nawa niema sklepienia. Urządzenie wewnętrzne bogate barokowe.

W **Olsztynie** na Warmii zamek biskupi tworzy czworobok, ale odmienny od poprzednich, mianowicie z dwóch stron wznoszą się budowle, a z dwóch tylko obronne mury. Zamek wzniesiono w drugiej połowie XIV. wieku. Główny budynek od strony podwórza ma u dołu krytą sień, nad którą wznosi się na piętrze podcień. W budynku są trzy większe ozdobne izby, dosyć niskie, z których jedna ma sklepienie gwiaździkowe z XIV. wieku, dwie inne kryształowe z końca XV i początku XVI wieku. Południową część czworoboku zajmuje kaplica św. Anny, przerobiona w roku 1580 z przylegającą okrągłą, wysoką, obronną wieżą, prowadzącą do galeryi strzelniczej, ciągnącej się pod dachem kaplicy.

Kościół parafialny zbudowano w połowie XIV. wieku, a przebudowano w XV. Jest to budowla halowa, o sześciu przęsłach bez osobnego prezbyteryum. Po stronie głównego wejścia wznosi się wieża, po bokach której znajdują się hale, tworzące jakby przedłużenie kościoła. Nawa środkowa znacznie jest gorsza od bocznych. Sklepienie siatkowe, późno gotyckie, bardzo drobno rozczłonkowane.



Fot. Jacobi, Toruń.

Na Pomorzu: Kościół św. Jakóba w Toruniu.

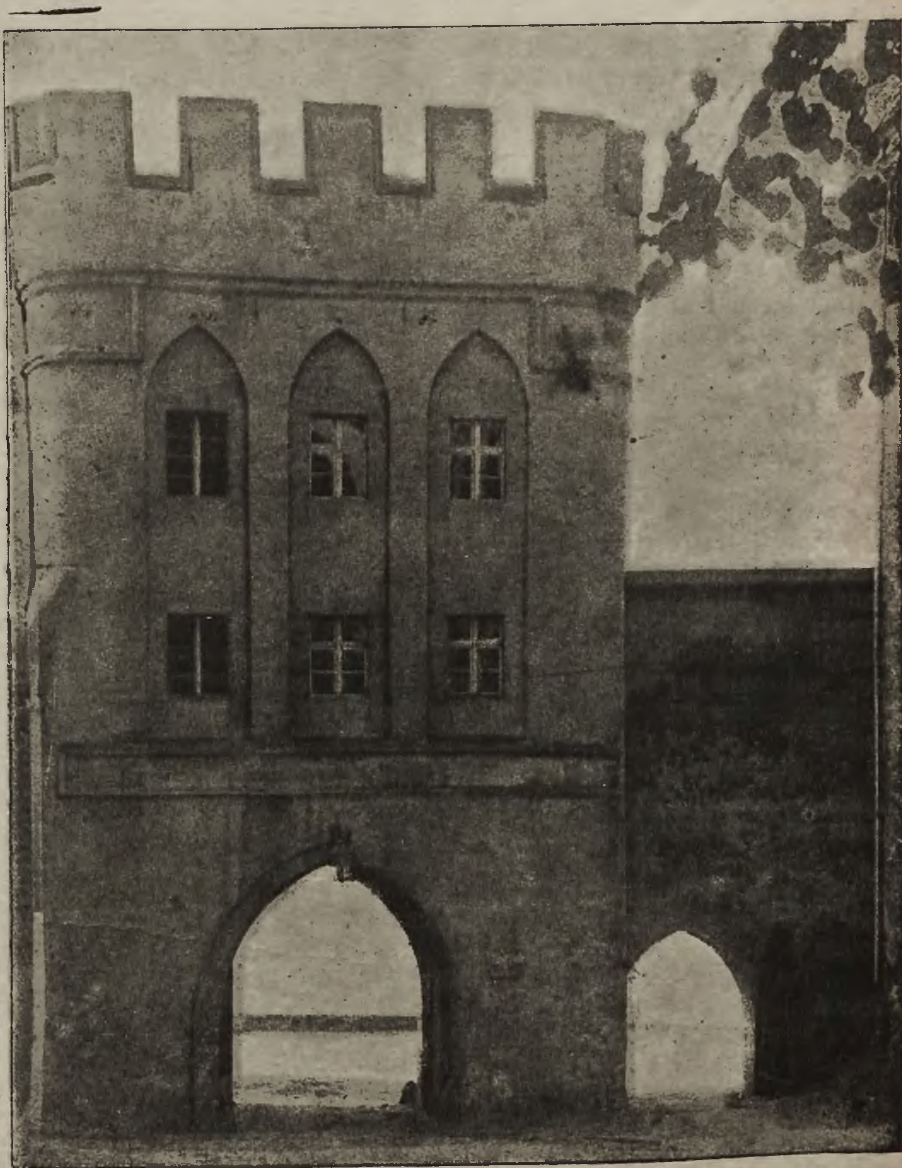
Słupy są ośmioboczne z szeroką wstęgą u góry zamiast głowicy. Ogromna wieża spoczywa na olbrzymich słupach przypornych. Ozdobę jej stanowią wnęki i żeberka, ciągnące się w sześciu rzędach. Urządzenie wewnętrzne kościoła przeniesiono tu ze zwiniętego kościoła Jezuitów w Brunsberdze.

Ks. dr. Tadeusz Kruszyński



Fot. Jacobi, Toruń.

Na Pomorzu: Mostowa brama w Toruniu; na prawo stary spichlerz.



Fot. Jacobi, Toruń

Na Pomorzu. Brama Mostowa w Toruniu z widokiem na Wisłę.

Marya Toczyska Sogony.

BEZ STERU

Powieść.

53

— Tyle jeszcze mamy wspólnie do omówienia — nalegała pani Anna, odprowadzając ją do przedpokoju. Tyle przygotowań, zachodów, a z rodzicami twoimi widzieć się muszę koniecznie. Przyjdź Janko jutro wcześniej, odprowadzimy cię potem z Isią do domu.

— Przyjdę — przyrzekła, pragnąc jaknajprędzej znaleść się na ulicy.

— Co się dzieje ze mną — myślała, powracając. — Czuję się tak sama i opuszczona, jak po pustyni. Nie mogłam się nawet przejąć tem, co mi mówiły, a przecież przyszłość Isi jeszcze dziś rano obchodziła mnie żywiej niż wszystko? I szłam tam w innem zupełnie usposobieniu. Czyżby jego nieobecność tak na mnie podziałała? Widocznie nie przyjechał, bo nie miał po co! Pani Anna przez dyskrecyę nie wspominała nawet nic o nim, nie chcąc mnie niepotrzebnie rozdrażniać... Ale dlaczego mnie tak źle jest na myśl, że się już wszystko skończyło, że już przeszłość nasza wspólna zamarła na zawsze!?

Łzy żalu zakręciły się w jej oczach i przyspieszyła kroku, bo denerwował ją widok ludzi, snujących się bezmyślnie po chodnikach i blask latarni, sprzyjający ich ciekawym, niedyskretnym spojrzeniom.

— — — — — — — — — — —

Janka codziennie teraz wieczorem wybiegała do pani Anny. Starała się nie myśleć o niczem, przymuszając się do zainteresowania się przygotowaniem do ślubu Isi.

W tym czasie przyjechał z Wiednia Henryk Walewicz i małe mieszkanie pani Anny rozbrzmiewało wybuchami szczerego śmiechu i radości. Postanowiono przez wzgląd na Jankę, że ślub odbędzie się w Krakowie, a pani Anna coraz częściej nalegała na konieczność porozumienia się ostatecznego z Boguckimi.

Dla Isi konieczność ta była bardzo przykrą. Był to jedyny cień, padający na jasne jej szczęście i beztroskę, a której pogrążyła się z całem zapamiętaniem gwałtownej swojej natury.

Jednego wieczoru Janka zastała panią Annę dziwnie zdenerwowaną i poruszoną.

— Wyobraź sobie — wyrzekła, sadzając ją obok siebie na kanapie — była tu dziś popołudniu twoja matka.

— Moja matka? — powtórzyła Janka ze zdumieniem. — Jakiż cel był jej odwiedzin?

— Przyszła z ciężkimi zarzutami i wymówkami, nie żałując z początku wcale słów najostrzejszych. Powiedziała, że bawię się w pokątne intrygi, przeciwdziałam razem z wami przeciw niej, uzurpuję jej prawa, sieję niezgodę w rodzinie — słowem, same najnieprzyjemniejsze rzeczy.

— Biedna pani — uśmiechnęła się mimowoli Janka. — Zrobiono z pani czarny charakter w nagrodę za najlepsze jej chęci.

— Mniejsza o mnie, ale gdybyś była słyszała w jaki gwałtowny sposób zareplikowała na to Isia, która na nieszczęście była obecna tej rozmowie.

— Tej napaści kochana pani Anno — poprawiła Janka.

— Poprostu szalała! Wypowiedziała, złoszcząc się i płacząc naprzemian, cały swój żal, poruszyła kwestye, które nie przypuszczałam, że rozumie nawet, uczyniła matkę winną za głupstwo, jakie palnęła, za twoje nieodpowiednie małżeństwo, postawiła się w roli sędziego, nie szczędząc ostrych uwag i zarzutów. Nie mogłam powstrzymać tego gorącego potoku słów, dopiero jak się zmęczyła i tchu jej w piersiach zabrakło, wyprowadziłam ją do drugiego pokoju, nakazując, żeby się uspokoiła i powróciła pogodzić się z matką.

— Udało się to pani? — zapytała z zaciekawieniem Janka.

— Udało — uśmiechnęła się pani Anna. — Matka była zupełnie ogłuszona wystąpieniem Isi i w rezultacie rozeszły się w jaknajlepszej pozornej zgodzie. Jutro tam być mamy z Henrykiem i załatwić wszelkie potrzebne formalności... O to, żeby rodzice twoi nie dali pozwolenia, niepokoić się nie potrzebujemy. Poznałam nawet, że matka jest bardzo zadowolona z tego związku.

— Oh! tak! to oczywiste — odparła Janka niechętnie. Wolałaby tylko, aby ten projekt wyszedł był od niej, bo wówczas wpływ jej na Isię i Henryka byłby większy, a na tem jej teraz najwięcej zależy.

— Janko! — upomniała pani Anna niezadowolona.

Ale Janka tak smutnemi oczami na nią spojrzała, że pani Anna umilkła, odwracając głowę w inną stronę. Dnia tego po powrocie do domu ogarnęło ją silne zdenerwowanie i niepokój, z którego sprawy zdać sobie nie umiała. Jakieś nieokreślone przeczucie czegoś złego, nieszczęścia czy też ciosu nowego zawisło nad nią, czyniąc jej to mieszkanie, w którem przebywać była zmuszona, wstrętniejszem jeszcze i bardziej obcem niż zazwyczaj.

Miała wrażenie, że weszła do czyjegoś cudzego domu wbrew woli mieszkańców i że wyjść będzie z niego musiała zaraz, szukając dalej przytułku. Patrzała z nienawiścią i wstrętem na sprzęty, pokrywające się już coraz gęściejszym cieniem, jak gdyby zaraz przemówić do niej miały ludzkimi głosami z szyderstwem naigrawając jej nieporadności i nieszczęściu.

Przeczulone, naprężone jej nerwy drżały na każdy szelest, na każdy odgłos, dochodzący z ulicy.

Nie zapalając lampy przeszła do drugiego pokoju, aby zająć się przyrządzaniem herbaty, sądziła, że jakieś przymusowe zajęcie rozproszy dręczące mary, ubezwładniające jej mózg i powróci normalny bieg zmysłom.

Nagle dobiegł ją donośny głos Lisiewicza, rozbrzmiewający po sionce.

Powraca po parudniowej nieobecności z świeżym zapasem energii i brutalności.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

— Co to? ciemno? Niema nikogo? Dokądże u kaduka poszła? — mruknął ochrypłym głosem, ciężko stąpając po podłodze.

— Jestem. Czego chcesz? — wystąpiła Janka z drugiego pokoju. A przedewszystkiem proszę cię nie krzycz, bo zwrócisz uwagę w całej kamienicy.

— Cicho być i zapalić lampę, kiedy mąż w domu jest. Patrzcie ją! Stawiać się jeszcze tu będzie!

Od drzwi wysunął się nikły cień Łatki.

— Daj spokój Ludwiczku kochanie — uspokajał go. Widzisz królewiczu złoty, takie gadanie, to się psu na poczciwe buty nie zda. Z kobietami trzeba grzecznie, ładnie, na paluszkach. One to lubią. Ej! żeby nie one — rozżalił się jak zawsze, kiedy parę kieliszków poczuł w głowie — żeby nie ta nieszczęsna pasya moja do nich, Łatka byłby dziś sławny... wielki... rozrywany. A tak co? Ta jedna pocieszycielka mi została. — Wyjął z pod peleryny gitarę i przyglądał się jej miłośnie.



Jakem rzekł, tak i zrobię...

— Zapominasz stary waryacie o drugiej pasyjce — zaśmiał się Lisiewicz, siadając ciężko przed stołem, na którym Janka postawiła zapaloną lampę. Oh! już na samo wspomnienie, oczy ci się zaświeciły jak kotowi! Poczekaj stary, napijemy się jeszcze zanim te skroki przyjdą — dodał ciszej, nachylając się do niego.

Łatka objął go bystrem spojrzeniem i potem niespokojnie spojrzał w stronę drugiego pokoju, do którego weszła Janka.

— Ludwiczku kochanie, a kogo ty zaprosił właściwie? Bo widzisz, mnie jakaś melancholia dziś duszę obsiadła i tak bym siadł w kącie i grał...

— I... pił!

— A no, jedno przy drugiem, kiedy taki już los mój psi... Kogóż ty więc zaprosił, królewiątko moje?

— A te dwie kasyerki, czy muzykantki, dyabeł ich ta wie — odparł Lisiewicz, opierając się wygodnie na krześle. — Wiesz te, co tam siedziały w knajpie. Nie szpetne co? Jak zabawa! to zabawa! Chciała mieć męża w domu, to go będzie mieć! a co?

— Ludwiczku, królu najmilejszy — szepnął Łatka przez zamknięte zęby, brzdąkając lekko po gitarze — pozwól sobie powiedzieć, że to paskudne świństwo i łajdactwo.

Twarz jego wysunięta i blada nieruchoma była i bez wyrazu, tylko w głęboko osadzonych oczach paliły się niepokojące blaski.

— Co ty znowu? opiłeś się! — fuknął ze złością Lisiewicz.

— I to może być... ale powtarzam ci raz jeszcze Ludwiczku kochanie, że to paskudne świństwo i nie byle jakie łajdactwo.

Lisiewicz czerwony z gniewu poderwał się ze stołka.

— Łatka! czyś ty oszalał! opamiętaj się stary głupcze! — wymówił stłumionym głosem.

Łatka silniej uderzył w struny gitary.

— Pomalutku, królewiątko ty moje, pomalutku. Ja krzyków nie lubię, wiedz o tem. Miałem ja kiedyś pańskie delikatne uszka i posłuchu byle jakiej cholocie nie dawałem. Tak, tak Ludwiczku kochanie. Łatka może być opój stary, co duszę dyabłu zaprzeda za kieliszek wzmocnionej z pieprzem, ale honor swój ma. I że tak jest, więc pozwól mi się pożegnać królu srebrzysty i opuścić progi twojego mieszkania.

Wziął gitarę pod pachę i kierował się z nią pomału ku drzwiom, ale Lisiewicz zastąpił mu drogę i siłą ciągnął na środek pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jubileusz artysty.

Wieczór artystów krakowskich z okazyi jubileuszu dyr. A. Lelewicza będzie hołdem, złożonym pracy scenicznej i talentowi jednego z najwybitniejszych i najpopularniejszych aktorów naszych. Na zaproszenie i z inicyatywy „Krakowskiego Biura Koncertowego E. Bujański", które bezinteresownie zajęło się organizacyą tego wieczoru, najznakomitsi artyści teatrów krakowskich, w liczbie 40, pospieszyli z gotowością udziału w akcie jubileuszowym. Po raz pierwszy zjawi się na estradzie tak liczny zespół artystów, którzy najlepsze rzeczy repertoaru swego złożą w hołdzie ukochanemu Koledze-Jubilatowi. Będzie to turniej humoru, wiecznie nieustannego śmiechu, bo najszczerszy śmiech i humor budzić — oto jest główną dewizą wytwornej sztuki Jubilata. Nie ulega też wątpliwości, że „cały Kraków" pospieszy na „*Wieczór humoru*" do sali „Sokoła", by złożyć hołd kochanemu Jubilatowi.



Jubileusz artysty: A. Lelewicz w roli Habakuka.

Andrzej Lelewicz całą swoją pracę włożył w operetkę, ile sił poświęcając się umiłowanemu a tak ważnemu i odpowiedzialnemu działowi dramatycznemu. Od szeregu lat piastując stanowisko dyrektora i reżysera operetki krakowskiej w Teatrze Powszechnym doprowadził do tego, że stała się ona motorem naszej drugiej sceny. Dzięki jego zabiegliwości i staranności skupił koło siebie doskonały materyał aktorski, który przy jego zrozumiałej reżyseryi w każdem przedstawieniu ukazuje się, jako zgrany zespół.

Jako aktor Lelewicz stwarza szereg pamiętnych postaci. Jego nawskróś zrozumienie duszy operetki pozwoliło mu wżyć się w reprezentowane przez siebie postacie. To też publiczność wita go zawsze burzą oklasków i dowodem gorącej sympatyi.

Zjazd dyrektorów Teatrów polskich.

Dnia 11 b. m. zjechali się po raz pierwszy, w odbudowanej ojczyźnie dyrektorowie Teatrów polskich. Za miejsce zjazdu obrano Kraków, kolebkę sceny i dramatu polskiego, wychodząc z tej świadomości, że tutaj wychowało się życie naszej sceny, wzrastało i dało najświetniejsze siły aktorskie. Celem zjazdu jest omówienie nowych warunków polskiej kultury dramatycznej, poddanie rozpatrzeniu najważniejszych interesów teatrów w związku ze sprawami zawodowymi. Idzie tu o pogodzenie wspólnych interesów i kierunków pracy.

Zjazd odbywa się przy licznym współudziale kierowników wszystkich scen polskich, których zadaniem jest powziąść uchwały wyłącznie na przyszłość. Dziś musi całe społeczeństwo zwrócić uwagę na fakt wyłaniania się z każdym dniem nowych postulatów kultury teatralnej, będącej w ścisłem tego słowa znaczeniu wyrazem polskiego życia duchowego i miernikiem jego wartości, zgadzając się na to, że teatr jest tętnem żywotności społecznej i zdrowia kulturalnego.



Jubileusz artysty: A. Lelewicz w „Dziewczynie z fiołkami".



Zjazd Dyrektorów Teatrów polskich:

Od strony lewej ku prawej (siedzą): Dr Emil Młynarski (Opera w Warszawie, Michał Tarasiewicz (Lwów), S. Malinowski (Wiceprezydent m. Warszawy), Jan Lorentowicz (prezes teatrów miejsk. w Warszawie, przew. Zjazdu), Ludwik Wierzbicki (Teatr Wielki w Poznaniu), Dr Chlamtacz (Wiceprez m. Lwowa), Karol Rolle (Wiceprez. m. Krakowa).

Od lewej ku prawej (stoją): Dr Tadeusz Kannenberg (radca Mgtu w Krakowie, ref. spraw teatrów miejsk), Stefan Nowiński (sekr. Teatru m. im. Słowackiego w Krakowie, sekr Zjazdu), Teofil Trzciński (Teatr im. J. Słowackiego, Kraków), Franciszek Rychłowski (Łódź), Bolesław Szczurkiewicz (Teatr polski, Poznań), Dr Arnold Szyfmann (Teatr Polski i Mały, Warszawa, Maryan Dąbrowski (Teatr „Bagatela" Kraków), Józef Wiśniowski (Teatr Powszechny, Kraków), Potrzebiński Teatr Powszechny, Warszawa).

Obecni nadto, a nie fotografowani: Roman Żelazowski (Łódź i Bolesław Gorczyński (Teatr praski, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Wielkanoc już za pasem, dzielą nas od niej zaledwie dwa tygodnie, nic też dziwnego, że przygotowania świętalne są w pełnym toku, a do nich należy też i bardzo sympatyczna dla każdego Polaka akcya, mająca na celu urządzenie święconego dla naszych dzielnych żołnierzy na froncie.

Inicyatywa wyszła od Komitetu, który zajmował się urządzeniem „Gwiazdki" dla naszych bohaterów, a dowodem, jak serdecznie przyjętą została przez nasze społeczeństwo, może być okoliczność, że n. p. Cech masarzy i rzeźników krakowskich uchwalił na ten cel dziesięć tysięcy koron, należy zatem żywić nadzieję, że w jego ślady pójdą i inne korporacye i jednostki.

Ogół robi więc, co do niego należy, aby zaś całe przedsięwzięcie wypadło, jak to mówią „jak się patrzy", potrzeba, aby Komitet wywiązał się należycie ze swego zadania, którego się podjął dobrowolnie.

Przedewszystkiem zależy na pospiechu, aby święcone znalazło się na miejscu w swoim czasie, a nie w kilka tygodni po świętach. Zupełnie inaczej spędzi nasz żołnierz święta zdala od swoich, mając przed sobą dowód, że społeczeństwo o nim pamięta, niż ciesząc się jedynie nadzieją, że „święcone jedzie" i łykając na razie tylko ślinkę...

Bo tak było z „Gwiazdką".

Nad wschodnim frontem zajaśniała ona dopiero w styczniu, w sam wigilijny wieczór i przez oba dni świąt napróżno upatrywano, czy też nie nadciąga od zachodu... Niestety, nie była wtedy jeszcze nawet w drodze.

Zależy więc przedewszystkiem na pospiechu, a ten w zupełności zawisł od energii i sprawności Komitetu.

Poza tem winien Komitet, odzywając się do publicznej ofiarności, zastosować się też i do woli ofiarodawców — naturalnie, o ile ona nie przekracza pewnych granic — gdyż, postępując inaczej, zraża ich niepotrzebnie i ściąga na siebie zupełnie słuszny zarzut samowoli i austryackiej gospodarki.

A że w owych komitetach różnego rodzaju nie zawsze dzieje się tak, jakby się dziać powinno, tego dowodem list, nadesłany pod adresem kronikarza przez jednego z Czytelników *Nowości Illustrowanych*, przytoczony poniżej w pełnej osnowie. Znając osobiście Autora, może kronikarz zaręczyć, że historyi całej z palca nie wyssał, ale podał jedynie fakty konkretne.

Pisze zatem, co następuje:

„Kochany Kronikarzu!

Kiedy przed Świętami Bożego Narodzenia wszystkie dzienniki w gorących odezwach poczęły nawoływać do składania podarków, także w naturze, dla naszych dzielnych chłopców na froncie, nie chwaląc się (spełnieniem serdecznego obowiązku niema się co chwalić) zapakowałem dwie paczki i udałem się do pewnego krakowskiego hotelu, gdzie urzędował Komitet. Zaznaczam, że paczki były silne, drzewiane i opakowane świetnie, bo z zawodu umię przesyłki pocztowe pakować. Każda z nich zawierała pudełko sardynek, 10 rurek sacharyny, 100 papierosów, między którymi ukryte były 10 rubli, i ćwierć litra wódki, a na każdej paczce widniał bardzo wyraźny napis: „Życzę sobie, by paczkę w całości oddano jednemu żołnierzowi". Kiedy wszedłem do pokoju, o ile pomnę, Nr. 14, zastałem coś 3 panienki, zajęte pakowaniem podarunków. Panienka odbierająca moje paczki, rzuciwszy okiem na napis na nich, odezwała się do mnie z dość silną afektacyą: „To ciekawe, że każdy ma jakieś specyalne życzenia, przecież to można rozdzielić". Na to ja: „Moje życzenie chyba Pani nie sprawi kłopotu, bo paczki są zupełnie gotowe do drogi". Na to otrzymałem książkę, gdzie musiałem umieścić swoje nazwisko i spis rzeczy, które posyłam. Odchodząc, prosiłem wyraźnie jeszcze raz, by życzenie moje uwzględniono i otrzymałem to przyrzeczenie.

Któż opisze moje przykre zdziwienie, gdy w długi czas po Świętach otrzymałem z frontu bardzo serdeczny list od żołnierza, który otrzymał odemnie list i pudełko z papierosami, w których były ukryte 10 rubli, *a zresztą... nic!* — Zapytuję się Ciebie, Kochany Kronikarzu, czy taka rzecz nie zniechęca do dalszych świadczeń, i czy takie postępowanie ze strony Komitetu jest na miejscu?

Ucałowanie rączek dla Pani Kronikarzowej, a gdy będziesz może i Ty wysyłał swoje nadobne córeczki do Komitetu wielkanocnego, powiedzże im, by nie naśladowały tamtych z hotelu i nie rządziły się jak szare gęsi po niebie, ale spełniały to, co ofiarodawcy sobie życzą, bo: „Tabakiera dla nosa, a nie nos dla tabakiery".

I nie można się chyba dziwić przykremu rozczarowaniu owego obywatela, gdy otrzymał od obdarowanego żołnierza z frontu list z podziękowaniem i zawiadomieniem, że otrzymał, ale tylko pudełko papierosów i owe dziesięć rubli, o których nikt nie wiedział, gdyż były ukryte między papierosami. A tak się cieszył, pakując owe paczki, wyobrażając sobie, jaką radość sprawi biednemu żołnierzowi swymi darami.

Bo i cóż tam było?... Była flaszeczka wódki czy koniaku, pudełko sardynek, kilka rurek sacharyny i coś tam jeszcze. Z tego koniak i sacharyna ulotniły się, a sardynki gdzieś utonęły lub popłynęły w niewłaściwym kierunku, zostały jedynie papierosy...

Obywatel ów łamie sobie nad tem głowę, co się z resztą darów stać mogło, dotąd przecież się nie dowiedział i zapewne nigdy się już nie dowie, bo to tajemnica urzędowa Komitetu. W każdym razie coś się z niemi stać musiało, skoro nie doszły na miejsce przeznaczenia. Najprawdopodobniej ktoś inny zjadł i wypił, co nie było dlań przeznaczone. Ale kto, gdzie i kiedy?... Nasuwa się przypuszczenie, że Komitet, aby obdzielić większą liczbę żołnierzy, otworzył paczkę i temu dał to, tamtemu owo, a jeszcze innemu papierosy, ale w ten sposób zbagatelizował wyraźne życzenie ofiarodawcy i zniechęcił go na przyszłość.

Dodał sobie też Komitet niepotrzebnie pracy, na przeciążenie która tak narzeka, a czego czynić nie powinien, skoro dobrowolnie i bez jakiegoś przymusu przyjął na siebie obowiązki.

Lecz mój Znajomy, choć nie Rusin, jest upartym człowiekiem. Otrzymawszy od żołnierza list, powiedział sobie, że mu przecież musi sprawić radość, zapakował więc drugi raz zupełnie to samo i wysłał pod jego adresem na front, ale nie za pośrednictwem Komitetu, lecz wprost, pocztą, prosząc o zawiadomienie, czy dostał i co dostał.

I, o dziwo, po pewnym czasie nadchodzi list z podziękowaniem, że wszystko doszło w największym porządku. Obdarowany pisze, że ofiarodawca musiał być sam żołnierzem, skoro wie, czego najbardziej żołnierzowi w polu potrzeba. W tym wypadku pomylił się przecież. Mój Znajomy tyle ma wspólnego z wojskiem, iż, choć siwizna włos mu lekko już przyprószyła, *tylko* cztery razy stawał w ciągu obecnej wojny do „*musterunku*", ale za każdym razem powiedziano mu, by się później zgłosił, o co się bynajmniej nie gniewał...

W liście swym zaznacza ów żołnierz, że Królewiacy szczerze wdzięczni są mieszkańcom Krakowa, gdyż ci dali im najwięcej dowodów pamięci i najserdeczniej zajęli się ich losem. Powinien był dodać: „lepiej późno, niż nigdy...", ale tego, zapewne przez grzeczność, nie uczynił.

Cała ta historya to drobiazg, przedstawiający przecież działalność Komitetu w niekorzystnem świetle i stwierdzający, że mają zupełną słuszność ci, którzy na różnego rodzaju komitety narzekają i piętnują niejednokrotnie ich samowolę.

Magistrat krakowski wydał naprzykład rozporządzenie, że „zbiórki" mogą się odbywać tylko do zamkniętych puszek, tymczasem piszący stwierdził na swoje własne oczy w jednym z publicznych lokali, iż kwestująca dobroczynna dama zbierała datki na tace, a potem, nie licząc nawet, wsypała monetę do torebki, powiedziała „do widzenia!..." i poszła. W tym samym dniu i na ten cel zbierano też w jednym z kinoteatrów do koszyka, obszytego wprawdzie płótnem, lecz z takim otworem, iż łatwo można było włożyć weń całą rękę.

Nie posądzamy nikogo o złe zamiary, ale tego rodzaju praktyki nie mogą budzić zaufania i nie przyczyniają się do wzmożenia ofiarności, zwłaszcza, jeżeli się wie, że wiele jednostek niesumiennych podszywa się pod charakter członków komitetu i kwestuje na dochód własnej kieszeni, a trudno każdego lub każdą prosić o wylegitymowanie się, gdyż mogłoby to być uważane za kamień obrazy. Choć, prawdę mówiąc, rozsądny i uczciwie działający o coś podobnego się nie obrazi, najgłośniej zaś oburza się ten, kto przy ogólnym ogniu chciał upiec swą pieczeń.

Komitet, zajmujący się urządzeniem święconego, niechaj zatem energicznie i prawdziwie po obywatelsku zabierze się do pracy, a zyska uznanie i wdzięczność całego społeczeństwa, zwłaszcza zaś tych biedaków, którzy tam walczą na froncie i cieszą się na samą myśl, że o nich pamiętamy i staramy się wedle możności rozjaśnić szarzyznę ich codziennego, twardego, żołnierskiego życia. Niech zatem bodaj dwa dni Świąt Wielkanocnych spędzą wesoło, to jest, niech święcone znajdzie się na froncie we właściwym czasie.

Tyle *uwag* jakie nasunęły się kronikarzowi *ex re* otrzymanego listu.

Skoro już mowa o listach, to nasuwają mi się dwie uwagi pod adresem naszej poczty.

Podnosiły się głosy, narzekające na podrożenie opłat pocztowych, ostatnio przy zamianie koron na marki. Jak się przecież pokazuje, podwyższenie opłat miało swe uzasadnienie, co postaramy się udowodnić na bardzo drastycznym przykładzie.

Wpadł nam mianowicie w ręce list polecony, nadany w Tarnobrzegu a adresowany do Krakowa. Wybrał się w drogę w dniu 23. grudnia 1919 r., a doszedł do Krakowa w dniu ... 4 marca 1920.

Zbyt mu się nie spieszyło, ale też nie jego to wina, zabłądził bowiem i znalazł się przypadkowo w... Nowym Jorku, jak o tem świadczy stampilia pocztowa, umieszczona na odwrotnej stronie koperty.

Adres jest jak najdokładniejszy, podaje bowiem nie tylko miejsce przeznaczenia (Kraków), ale i ulicę i nazwę domu, trudno więc odgadnąć, co go mogło zapędzić aż za Ocean!... Zwiedził w każdym razie kawał świata i za to musi się płacić, bowiem dziś takie czasy, że nic za darmo. Za pięćdziesiąt halerzy (wyjechał z Galicyi jeszcze za czasów waluty koronowej, wrócił za markowej!...) taki szmat drogi, to chyba bajecznie tanio!... A są ludzie, którzy narzekają na wysokość opłat pocztowych.

Prawda, że doręczenie listu skutkiem tej okrężnej podróży nieco się opóźniło, adresat przecież nic na tem nie stracił, choć życzenia „wesołych świąt Bożego Narodzenia" otrzymał dopiero w marcu, owszem, może nawet zrobić na tem interes, filateliści pragną bowiem owe pocztowe *curiosum* nabyć do swych zbiorów i ofiarują mu już bajeczną wprost cenę. Ale on, praktyczny człowiek, powiada: „Mam czas!... Nie spieszy mi się!..." I ma racyę!... Nie spieszyło się listowi, nie spieszy się i jemu.

W każdym razie jest to piękny przykład sprawności naszej poczty, uzasadnienie podwyższenia opłat i pouczenie, że droga z Tarnobrzega do Krakowa prowadzi na... Nowy Jork! Niechaj to będzie także wskazówka dla wysyłających pocztą życzenia „wesołego Alleluja", że należało to uczynić w styczniu, gdyż Wielkanoc przypada na początek kwietnia.

Powiada stare przysłowie, że „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu", a ponieważ Kraków nazywa się „małym Rzymem", nic też dziwnego, że ów list taką obrał drogę. W każdym razie doszedł...

Co do drugiej sprawy, to nie jest ona już tak wesoła.

Urząd pocztowy „Kraków 2", używa dotąd nalepek na listach poleconych z mile brzmiącym napisem „Krakau 2", przypominającym nam czasy ś. p. Austryi, choć już wtedy walczyliśmy o to, że nie „*Krakau*" lecz „*Kraków*".

Czy nie byłoby wskazanem, aby w państwie polskiem, w którem język polski ma, a przynajmniej powinien mieć pełne prawo obywatelstwa, skasowano już te „pamiątki" dawnych czasów, kiedy szwabskie pokolenie rządziło się u nas, jak u siebie w domu?... Mieliśmy dość ich rządów i chętnie o nich zapomnimy.

Być może, że odnośny urząd ma większy zapas tych nalepek i używa ich ze względów oszczędnościowych... Oszczędność to piękna cnota i nawet kościoł do niej nawołuje, ale skarb państwa nie poniesie przez to zbyt wielkiej szkody, jeżeli te zabytki szwabskich rządów wrzuci się do pieca, nie mogąc ich obrócić na inny, właściwszy użytek.

Jeśli już chodzi o oszczędność, radziłbym Urzędowi „Kraków 2", aby sobie sprawił żelazną stampilię z napisem „R. Kraków 2", numer porządkowy dopisze zaś urzędnik ołówkiem.

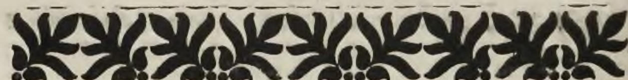
Będzie i wilk syty i owca cała. Na nowe nalepki nie wyda się pieniędzy, stare zaś, czarno-żółte, pójdą w odstawkę.

Dawny cesarsko-królewski austryacki duch jakoś najdłużej pokutuje w naszych urzędach pocztowych i nie może się „wyewakuować" nad Dunaj, gdzie mu będzie chyba i weselej i wygodniej, niż w *Bärenlandzie*.

Szwaby różnego rodzaju siedzą wprawdzie chętnie między nami, ze względu na swe grzeszne cielska, które jest u nas czem posilić, duch przecież pokarmu nie potrzebuje, może nam więc powiedzieć zupełnie śmiało: „Bądźcie zdrowi!...", na co mu odpowiemy: „Jedź zdrowo i szczęśliwie, ale nie wracaj!..."

Gdybyśmy się raz mogli wogóle pozbyć różnych nieproszonych gości, których tak wiele mamy między sobą, byłoby nam i wygodniej i spokojniej. Narzekają, że się im tutaj źle wiedzie, ale jakoś w żaden sposób nie chcą nas opuścić, co jest chyba zupełnie jasnym dowodem, że im jest dobrze, gdy tymczasem my sami śpiewamy coraz cieniej i coraz żałośniej. Niemcy i Czesi nie obchodzą się tak uprzejmie z naszymi rodakami, przeciwnie, na każdym kroku dają im odczuć, że są u nich niepożądanymi zupełnie gośćmi. Dlaczegoż my mamy być inni?... Nawet i tradycyjna staropolska gościnność musi mieć swe granice. Jak dotąd, wychodzimy na niej zawsze niczem ów Zabłocki na mydle.

Lubimy się bawić w „komitety", zawiążmy zatem komitet, któryby ułatwiłby naszym „gościom" szczęśliwy a jak najrychlejszy wyjazd do ojczyzny. W pracach jego i kronikarz, choć jest wrogiem komitetów (o to go przynajmniej posądzają...), weźmie udział jak najczynniejszy.



BERBERYJSKIE KOZY

(Tłumaczenie z angielskiego).

6

Tego dnia o czwartej popołudniu Lady Wyverne siedziała na werandzie oczekując swego męża. Patrzała po przez drzewa na gościniec i nasłuchiwała tętentu kopyt mułów. Lecz nic nie było słychać. Czas przechodził. Crumpet się spaźniał. W końcu znudzona czekaniem, zawołała na stojącego na dole araba, żeby jej podał herbatę. W chwili gdy ją przynosił, ukazał się na drodze chłopiec z papierem w ręku. Przeszedł przez bramę, podniósł oczy na Lady Wyverne i wyciągnął go do niej.

— To dla mnie? — zapytała.

Skinął głową. Kazała mu wejść. Za chwilę był przy niej i wręczył list od sir Claude.

„Moje kochanie, czy nie będziesz się bardzo gniewała, jeżeli nie wrócę dziś wieczorem? Rano upolowałem dwie kozy. Achmed powiada, że przenocowawszy w jakiejś miejscowości o zapadłej nazwie, mogę być pewnym polowania na gazelle o wschodzie. Jutro wrócę z pewnością i będę gotów jechać do Beni — czy jak się tam nazywa
Twój
Crumpet".

Lady Wyverne dała napiwek chłopcu i siadła sama do herbaty.

— Dlaczego opatrzność dała mi waryata za męża? — było treścią jej rozmyślania.

Pijąc herbatę zdawało się jej, że widzi brunatne stopy spahisa, spoczywającego na rozgrzanych kamieniach nad rzeką. Wyobrażała je sobie stąpające cicho po przez piaski pustyni. A obok nich szły nogi kobiece.

VII.

Miejscowość z zakazaną nazwą, o której sir Claude pisał w swym liście, była to El-Alia, u podnóża słonej góry, widnej z okien pociągu idącego do Beni-Mora. Tego dnia pod wieczór sir Claude, zmęczony polowaniem, lecz uradowany z ubitej zwierzyny, siedział pod altaną dzikiego wina pod drzwiami gospody i zajadał z apetytem podaną potrawę z gazelli z jarzynami, kurczę z sałatą, „kus-kus", popijając przytem cienkie czerwone wino, któremby pogardził w Londynie, lecz które tutaj wydawało mu się lepszem, niż najlepsze wino, które kiedykolwiek pił w mieście. Dwudniowy pobyt na dworze w dzikiej okolicy i doskonałem powietrzu, obcowanie z arabami, wybornemi myśliwymi, jego własne zdolności zabijania stworzeń — jak Lady Wyverne nazywała polowanie — podniosły go na duchu i zaostrzyły apetyt. Czuł się w doskonałem usposobieniu, w zgodzie z sobą i całym światem. Jedyną chmurką zaciemniającą jego horyzont była obietnica dana Kitty wyjechania nazajutrz. Beni-Mora, jako centrum polowania, stała o wiele niżej od El-Ehba. Wolałby spędzić jeszcze tydzień, nie, lepiej miesiąc w wygodnym hoteliku w wąwozie. Ale Kitty się nudziła. Prosiła go, żeby ją wywiózł. Miał niejedno wspomnienie rozmowy z nią w nocy. Początkowo był zaspany, a następnie zaprzątnięty myślą, że Achmed przyprowadza muły. Pomimo tego jednak pamiętał dziwny, nerwowy niepokój Kitty, tudzież niezwykłą ironię i gorycz jej mowy.

— Może myśli, że ją zaniedbuję — myślał napełniając znów szklankę. — Kobiety nie są w stanie zrozumieć, czem jest polowanie dla mężczyzny, chyba, że same polują, a Kitty niecierpi strzelby.

Że lubiła rewolwer, o tem nie wiedział.

Postawił szklankę na stole i obrócił się na krześle, zaglądając do otwartych drzwi gospody.

— Café! — zawołał.

— Noilà — odkrzyknął głos z zewnątrz.

Sir Claude uśmiechnął się, wyjął cygarnicę i wyciągnął swe długie nogi z wyrazem wielkiego zadowolenia.

Achmed poszedł na kolacyę i pogadankę z przyjaciółmi do pobliskiej wioski, przyniosła mu więc kawę sama gospodyni, niemłoda już francuska i postawiwszy ją na stole zapytała, jak „monsieur" smakował obiad. Sir Claude nie szczędził pochwał, czem rozradował jej kucharskie serce.

— Proszę siadać, madame — rzekł swą szkolną francuszczyzną do stojącej przed nim siwowłosej z pomarszczoną twarzą kobiety w niebieskim fartuchu — proszę siadać i wypić kieliszek koniaku.

Gospodyni siadła z uśmiechem, wygładzając swój fartuch. Lubiła przystojnych mężczyzn i uważała sir Claude za nadzwyczaj dodatni okaz ludzkości.

— Co panią sprowadziło do tej samotnej miejscowości? — ciągnął.

Gospodyni podniosła kieliszek mówiąc:

— A votre santé, monsieur — i zaczęła opowiadać bardziej zajmujące epizody swego życia, jako że się urodziła w Marsylii, że przybyła z rodzicami do Algieru, a poźniej wyszła za kelnera z kawiarni, który się rozpił, że się przenosili z miejsca na miejsce, aż w końcu osiedli w El-Alia, gdzie mąż jej umarł przed trzema laty.

— I pani mieszka tu sama pośród arabów? — zawołał sir Claude.

— Nie, monsieur, mam siostrzeńca Roberta. Lecz dzisiaj pojechał do Beni-Mora po sprawunki.

Napiła się znowu koniaku.

Ciemność zapadała coraz głębsza. Słona góra majaczyła w dali jak widmo w nocy. Nad samotną odludną krainą powiał świeży wiatr pustyni, liście winogradu zaszeleściły. Sir Claude błądził spojrzeniem po równinie i przeniósł je następnie na siwowłosą towarzyszkę z kieliszkiem likieru w ręku.

— Nawet i tak to samotne życie, madame — rzekł — lecz przypuszczam, że panią łączą przyjazne stosunki z arabami?

Gospodyni wydęła usta ze złośliwym, prawie kocim wyrazem na twarzy.

— Oh la, la! arabowie! — wykrzyknęła. — Arab jest traître, m'sieu. Każdy arab, który kiedykolwiek się urodził jest traître. Może pan mi wierzyć na słowo. Prawie całe moje życie spędziłam pośród nich. Nie wierz nigdy arabowi. Będzie z tobą żył dwadzieścia lat i w końcu poderżnie ci gardło dla jednego franka. Co ja widziałam! Czego się dowiedziałam! Są przystojni. Są mądrzy. Mogą otumanić mężczyznę, a co do kobiet — no! — Wyciągnęła ręce i wzruszyła ramionami. — Ja sama, kiedy byłam młoda — ale co tam! Arab jest traître, m'sieu. Sprzeda swoją duszę dla pieniędzy, a dla zaspokojenia swej żądzy będzie kłamał, będzie pieścił, będzie przekupywał, będzie zdradzał, będzie mordował. Mogłabym dużo opowiedzieć! Arab pozostanie zawsze arabem, nigdy się nie zmieni. Wydaje się zmienionym — tak, ale tylko po wierzchu, w głębi jest zawsze taki sam. Jeździ do Paryża, mówi po francusku tak dobrze jak ja, nabiera pięknych manier, mon Dieu! Bywałby na królewskim dworze, gdyby istniał w mojej cudnej Francyi. Wraca na pustynię i o wszystkiem zapomniał. Siedzi w piasku, zajada „kus-kus" palcami.. on jest wielbłądem, m'sieu, on jest wielbłądem! Takim jest arab! Strzeż się jego! Czy m'sieu ma żonę?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.

Ułożył Jan W., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane przysłowia:

1) - - o - - - e - o - - a - - ie - - ie - - u - i.

2) o - - - ą - - o - - ią i - - a - ą - u - - ie - - ią - e - a - ą.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Sawicki, Rzeszów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A Maniek beczy przy czło.....

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył St. K. Jordanów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, c, c, ć, e, h, h, l, n, n, o, o, o, p, p, p, w, z

Grzebieniówka.

Ułożył St. Malinowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pierwszych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd, poziomy, poda nazwisko, głośne obecne w Niemczech.

■	■	■	■	■	■	■	■	■
—		—		—		—		—
—		—		—		—		—
—		—		—		—		—
—		—		—		—		—

Znaczenie wyrazów: 1) Imię męskie; 2) Miasteczko w Galicyi zachodniej; 3) Kraj w Afryce; 4) Małpa; 5) Współczesny polski geograf.

Kwadrat magiczny.

Ułożył St. ., Jordanów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	a	a
c	c	d	m
n	n	o	o
r	y	y	ż

Znaczenie wyrazów: 1) Żydowska potrawa; 2) Imię biblijne; 3) Amerykanin, który z swym cyrkiem objeżdżał świat; 4) Znana przyprawa.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Wójcik, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miesjce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko bożyszcza współczesnych Niemców:

— ela
— wa
— oga
— ąb
— pir
— oc
aku
— fa
yga
— il

Zadanie do przestawienia

Ułożyła H. B., Kołomyja.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Zjesz?... Jemy obie cięto!... Tocz woła.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) „Album Legi now Polskich", 2) Paczka papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

W sprawie „Wielkiej szarady konkursowej: P. T. Prenumeratorów, nadsyłających rozwiązania *Wielkiej Szarady konkursowej*, zawiadamiamy, iż na zapytania, czy są trafne, czy odpowiadają warunkom i będą dopuszczone do losowania, odpowiadać nie możemy każdemu z osobna. W kwietniu, po upływie terminu nadsyłania rozwiązań, ogłosimy listę osób, dopuszczonych do losowania.

Rozwiązanie zagadek z Nru 10.

Przysłowiówka:

1) Kto chce kochać, cierpieć musi.
2) Czem baba bogata, tem rada.

Kwadrat magiczny: Cal, ale, len.

Przysłowiówka:

1) Gdy w Gromnicę z dachu ciecze, zima pewnie się przewlecze.
2) W Gromnicę niedźwiedź budę wali, albo ją poprawia.

Logogryf: W, Nil, e, Eli, oko, cis. koper, Brody, pasek, Patek.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: H. Czajkowska Rozwadów, M. Gostyński Lwów, J. Barański Kraków, K. Glücksmann Tarnów, L. Osadziński Lublin, M. Janik Kraków, H. Schwarz Oświęcim, K. Radoszewski Warszawa, J. Jaskólski Sambor, H. Biliński Tarnopol, J. Balicka Krosno, W. Zawadzki Lwów, R. Jankowski Łańcut, W. Potocka Kraków, M. Żak Kraków, W. Borkowski Warszawa, J. Krzyżanowski Stanisławów, T. Jasiński Piotrków, S. Bielewski Tarnobrzeg, E. Dziedzic Wadowice, K. Sarnowski Kraków, J. Gawron Rzeszów, H. Obst Lwów. W. Roland Radom, M. Fijałkowska Kraków, W. Kowalski Sambor, Z. Sperling Lwów, K. Lipski Wiedeń, J. Jaworski Lwow, M. Kamiński Zakopane, J. Korda Lwów, A. Opolski Rzeszow, H. Kąsowicz Warszawa, M. Radziszewski Kalisz, J. Jabłoński Krakow, S. Brodzińska Jasło, L. Taborski Częstochowa, Z. Kołodziejski Sanok, K. Tyszkowski Lwów, H. Bandrowska Warszawa, M. Zubek Lwow, R. Kwaśnicki Krakowiec, Z. Niewiadomska Oświęcim, B. Kaczyński Warszawa, T. Kalinowski Kraków, W. Więckowski Poznań, S. Ogibiński Nowy Sącz, H. Waligorski Łódź, Z. Kaufmann Lwów, S. Sokołowski Rzeszów, M. Kaczorowska Tarnopol, J. Dembiński Lwów, F. Antosz Lwów, J. Wierzbicki Krakow, H. Golinska Rzeszów, S. Kohn Stryj, F. Jamiński Tarnów, B. Siewroga Bochnia, S Kalczyński Jordanów, J. Schorsch Kraków, M. Łyszkowska Warszawa, J. Radziński Kraków, W. Raczyński Zakopane, H. Gross Podgorze, Z. Bogusz Warszawa, J. Pietrusiński Poznań, A. Markiewicz Warszawa, E. Laskowski Nowy Sącz, S. Ramza Lwów, R. Samlicki Stanisławów, H. Decowska Tarnów, Z. Katelski Sambor, R. Bajorski Kołomyja.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) Z. Kaufmann Lwów (książka). 2) K. Radoszewski Warszawa (papier listowy). — **Upraszamy o nadesłanie 75 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego.